



## Wydaje Ci się, że widzisz

XXX Niedziela Zwykła

*Gdy Jezus wraz z uczniami i sporym tłumem wychodził z Jerycha, niewidomy żebrak, Bartymeusz, syn Tymeusza, siedział przy drodze. A słysząc, że to jest Jezus z Nazaretu, zaczął wołać: «Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną!» Wielu nastawało na niego, żeby umilkł. Lecz on jeszcze głośniej wołał: «Synu Dawida, ulituj się nade mną!»*

*Jezus przystanął i rzekł: «Zawołajcie go». I przywołali niewidomego, mówiąc mu: «Bądź dobrej myśli, wstań, woła cię». On zrzucił z siebie płaszcz, zerwał się na nogi i przyszedł do Jezusa.*

*A Jezus przemówił do niego: «Co chcesz, abym ci uczynił?»*

*Powiedział Mu niewidomy: «Rabbuni, żebym przejrzał».*

*Jezus mu rzekł: «Idź, twoja wiara cię uzdrowiła». Natychmiast przejrzał i szedł za Nim drogą. **Mk 10, 46b-52***

„Grzechem jest przekonanie, że cokolwiek można rozpocząć samemu. Nigdy się niczego nie rozpoczyna – zawsze się odpowiada” (R. Girard).

Uzdrowienie Bartymeusza to w Ewangelii według św. Marka ostatni cud, cięcie, które przepoławia ją na dwie części. Dotąd Jezus próbował kształtować uczniów, ścierał się z ich niezrozumieniem, tłumaczył, wyjaśniał. Teraz, już po wyruszeniu z Jerycha w kierunku Jerozolimy, w drodze uzdrawia ślepego. Nieprzypadkowo jest to człowiek, który na skutek swej choroby siedział przy drodze, nieruchomo, a po odzyskaniu wzroku idzie drogą za Jezusem. Marek ukrył tu symboliczny gest: chodzi o wędrowkę z Mistrzem do Miasta Świętego z wyraźnym celem: wydanie się w ręce ludzi, śmierć i zmartwychwstanie. Czy Bartymeusz stał pod krzyżem i patrzył na to niesłychane objawienie?

Ten uzdrowiony ślepiec jest obrazem każdego chrześcijanina, który wprawdzie słyszał o Chrystusie i nawet przyznaje, że chce być uczniem, ale w praktyce pozostaje ciągle daleko w tyle za Mistrzem. Rzadko wynika to ze złej woli, zdecydowanie częściej z naturalnych oporów, z niewłaściwego poznania, z przywiązania do własnych wyobrażeń. Przecież wszyscy apostołowie szli za Jezusem, ale równocześnie nie chcieli, aby On cierpiał. Sądzieli, że nabiorą znaczenia dzięki zdobyciu takiej czy innej władzy. Nie rozumieli nawet, co Chrystus mówi i czyni podczas Ostatniej Wieczerzy. Wszyscy byli w jakiejś mierze ślepcami.

Przypomina mi się intrygujące wyznanie sługi Bożej Elżbiety Czackiej, założycielki zgromadzenia sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża i ośrodka dla niewidomych w Laskach. Słyszę je za każdym razem gdy jestem tam na rekolekcjach dla narzeczonych lub małżeństw. Zwykle w sobotę wieczorem przychodzi do nas siostra przełożona i opowiada o tym, co takiego dzieje się na terenie Lasek. Matka Czacka chciała, aby niewidomi, przyjmując z ludzką pomocą swoją niepełnosprawność, stawali się

apostołami wśród widzących fizycznie, ale „niewidomych na duszy”. Chodzi o ludzi oddalonych od Boga, wątpiących, żyjących w grzechu, niedostrzegających świata duchowego, sklejonych za bardzo z tym, co widzialne, osaczonych w ciemnym więzieniu zniechęcenia i porażki. Jej zdaniem jest to gorsza ślepotą niż brak wzroku fizycznego.

Przyznam, że w pierwszym odruchu zwykle przez głowę przemyka mi „pocieszająca” myśl: mnie to raczej nie dotyczy. Ja póki co widzę i fizycznie, i duchowo. Ostatnio jednak zawahałem się: Skąd ta pewność? Czy naprawdę wszystko w moim życiu widzę tak jak trzeba? Bo jeśli się tak uczciwie zastanowić i przyjrzeć sobie, to znajdzie się wiele obszarów ciemności i najprzeróżniejszych kłapek, które sam sobie nakładam na oczy.

W średniowieczu żyli tacy dwaj panowie Hugo i Ryszard od św. Wiktora. Obaj uważali, że każdy z nas ma trzy rodzaje oczu, względnie, widzenia. Pierwsze to zmysłowe oczy naszego ciała. Dzięki nim zauważamy to, co istnieje na zewnątrz nas. Drugie oko to rozum, który działa wewnątrz, także w niewidomych, przez medytację lub refleksję. Trzecie oko, najgłębiej w nas osadzone, to wiara, gdzie dochodzi do prawdziwego, pełnego poznania, a dzieje się to na drodze kontemplacji.

Trzecie widzenie buduje na pierwszym i drugim, ale dopiero to ostatnie daje obraz całości. Nie możemy jednak oderwać się od zmysłów (niewidomi też poznają przez dotyk, węch i słuch) i rozumu, bo wtedy będziemy uchodzić za szaleńców. Mistycy widzieli trzema rodzajami oczu. I dlatego wszyscy byli blisko ziemi, zanurzeni w konkretności, a nie w chmurach. Droga duchowa polega na powolnym przechodzeniu od zmysłów do wiary. Od spostrzegania tego, co widać fizycznie do zauważania tego, czego nie widać oczami zmysłowymi. Ślepotą zwykle zagnieżdża się gdzieś pomiędzy i uniemożliwia wejście na kolejny etap.

Najbardziej powszechny rodzaj ślepoty polega na tym, że człowiek patrząc na otaczający świat i siebie samego nie widzi w nich daru. Nie wyraża się to jednak w tym, że człowiek ostentacyjnie uważa wszystko za oczywistość. To byłoby zbyt proste. Jest raczej na odwrót. Świadomie, racjonalnie nawet się z tym zgodzi, że wiele rzeczy w tym życiu to dary, ale nieświadomie działa tak, jakby wszystko było owocem jego pracy, jego zasługą i zdobyczą. Dietrich Bonhoeffer słusznie zauważa, że wdzięczności nie wysysamy z mlekiem matki. „Nie wypływa ona z własnej zdolności serca ludzkiego, lecz ze Słowa Bożego. Dlatego wdzięczności trzeba się uczyć i ćwiczyć ją”. To właśnie Słowo Boże demaskuje w nas głęboko ukrytą niewdzięczność, która na zewnątrz przebiera się w szaty wdzięczności, ale w sercu ciągle wpływa na nasze wybory i postrzeganie świata.

Mimo roszczenia, że jesteśmy panami samych siebie, nie dostrzegamy też w sobie subtelnej pychy. To inna odsłona ślepoty. Jednym razem wydaje nam się, że zawsze bywamy bezinteresowni, ale gdy należy poświęcić cenny czas dla kogoś, odmawiamy, bo „ważne” sprawy nas pochłaniają. Innym razem rezygnujemy z uczynienia dobra, ponieważ odkrywamy w sobie tak wiele interesowności i egoizmu, że nie chcemy przed Bogiem być hipokrytami... W jednym i w drugim przypadku, widzimy tylko część, a nie całość.

Ślepy duchowo jest również ten, kto doskonałość chce osiągnąć własnymi siłami, woluntaryzmem, który odrzuca łaskę. Zazwyczaj kończy się to rozczarowaniem. Potem pojawia się smutek się, że nie wychodzi, rodzi się gniew na samego siebie, a na końcu wylewa się pretensje do Boga, że obojętnie wszystkiemu się przypatruje... Nie mamy również wglądu w dramatyczne powiązania naszych szlachetnych porywów serca ze słabością i złem. Nie potrafimy wytłumaczyć, dlaczego tak a nie inaczej postępujemy, a często wydaje nam się, że „znamy” motywy działania naszych bliźnich. Przynajmniej wewnętrznie osądzamy ich, jakbyśmy przejrzeni ich na wylot.

Wróćmy do dzisiejszej Ewangelii. Cóż takiego się stało, że Bartymeusz z natarczywością wołał i krzyczał, aby Jezus zwrócił na niego uwagę? Co nim kierowało, że nie pozwolił się uciszyć? Był

zeterminowany, ponieważ ślepotą stała się już dla niego nie do zniesienia. Miał już dosyć takiego życia. Szkopuł w tym, że duchowa ślepotą w przeciwieństwie do fizycznej nie od razu daje się nam we znaki. Raczej rozwija się powoli. Często przez długie lata służy nam za oparcie, jest sposobem na życie. Przybiera formę duchowego lenistwa, przeciętności, pozorów dobra albo samozbawiania. Właśnie z tych powodów trudno ją zauważyć. Nie prosimy jak Bartymeusz o przejrzanie, bo ślepotą jeszcze nam nie dokuczyła.

Apostołom łuski z oczu zaczęły spadać dopiero podczas pojmania Jezusa i Jego śmierci. Byli zdruzgotani. Świat im się zawalił. W tych chwilach stali się prawdziwie ślepi, bo zostali pozbawieni dotychczasowego widzenia, które w gruncie rzeczy było ślepotą. Światło zaczęło przychodzić dopiero w dzień Zmartwychwstania. Może i my potrzebujemy takich doświadczeń, które wprowadzą nas do światła, ale konieczne, żebyśmy nie tylko słowami uwierzyli w Chrystusa.

Dariusz Piórkowski SJ